



KLAN SMOKA

TOM 4

KREW OTORE

Alina Duchnowska

KLAN SMOKA

TOM 4

KREW OTORE

Alina Duchnowska



Copyright © by Alina Gawryś, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN: 978-83-975965-0-4

Redakcja: Paulina Zyszczaak – Zyszczaak.pl

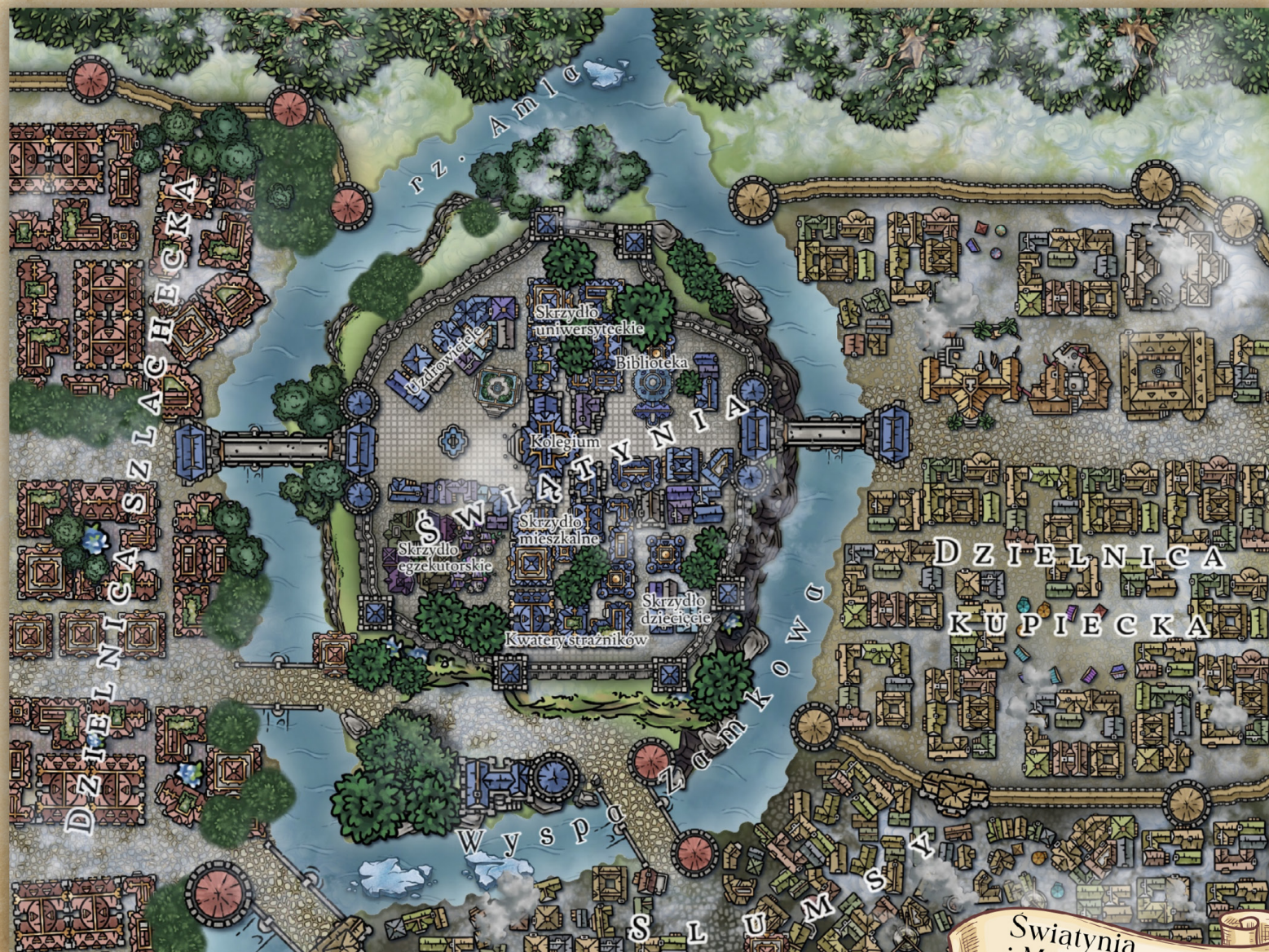
Skład: Andrzej Zyszczaak – Zyszczaak.pl

Korekta: Kinga Dąbrowicz – Zyszczaak.pl

Ilustracje i okładka: Urszula Przyłucka-Osypiuk

Projekt mapy: Alina Duchnowska





Świątynia
i Miasto Świątynne

Rozdział 1

– Yuno... Yuno...!

Natarczywe głosy nie dawały jej ani chwili wytchnienia. Żądały, nalegały. Podsuwały wizje, na które wcale nie chciała patrzeć, a które mieszały się z upiornymi snami w męczącą mozaikę.

– Odejdźcie – prosiła.

Ale one wybrzmiewały tylko głośniej:

– Musisz ruszyć w drogę! Czeka cię misja! Mamy dla ciebie zadanie!

Zadanie. Misja. Próba. Odkupienie.

Yuno nie chciała zostać odkupiona. Nie według norm, jakimi się kierowali jej pochodzący ze Świątyni przodkowie. To, co dla nich było zbawieniem, jej jawiło się jako najgorszy z koszmarów. Dlatego opierała się im ze wszystkich sił, a oni dręczyli ją z niemal namacalną uciechą. Była wszak renegatką. Złamała wszystkie święte dla nich zasady.

– Ruszaj natychmiast! – żądały duchy.

W te głosy wkradła się panika. Słyszac ich strach, magini czuła oblewający ją zimny pot.

– Ocal ich – szlochały. – Nasze dzieci, nasza krew...

Ale cokolwiek rozgrywającego się w Świątyni doprowadzało je do takiego cierpienia, jej było obojętne. Mogły ją dręczyć, błagać i próbować przekupstw – nie zamierzała im ulegać. W końcu

dawno temu złożyła obietnicę swojej matce: nigdy nie wróci do Świątyni. Nigdy. Cokolwiek by się działo...



Altamira obudziło uporczywe nawoływanie jednej z kotek, która dawała znać, że dzieje się coś niepokojącego. Pierwszym, co dostrzegł, było puste miejsce obok niego. Jak zawsze w takich sytuacjach poczuł oblewający go niepokój. Uniósł się na łokciu.

– Yuno?

Magini stała przy oknie wpatrzona w wirujące na wietrze płatki śniegu.

Wygramolił się spod pierzyny, zrzucając z siebie zwiniętą w kłębek Miau, i podszedł do zastygłej nieruchomo żony. Tak jak się spodziewał, miała nieobecny wyraz twarzy, który już tak dobrze zdążył poznać. Objął jej ramiona.

– Kochanie?

O dziwo zareagowała i odpowiedziała mu sennym głosem:

– Duchy są niespokojne. Krzyczą do mnie. Echo też.

– Echo? – zdziwił się, zerkając na pogrążony w mroku świat. Gdyby nie ciemność, mógłby stąd dostrzec masyw góry kryjącej Sanktuarium.

Yuno uniosła dłonie i przycisnęła je do skroni.

– Jest niestabilne... – jęknęła. – Coś się dzieje.

Pociągnął ją w stronę łóżka.

– Chodź. Cokolwiek się dzieje, nie musisz tu stać. Możesz słuchać spod kołdry.

Kiedy tylko ponownie ułożyli się na posłaniu, Miau i Mrau zajęły swoje ulubione miejsca pomiędzy ich nogami, gdzie tworzyło się wygodne gniazdko idealne dla kociąt. Yuno prześlizgnęła po nich wzrokiem z czułością, ale zaraz znowu poddała się niepokojowi.

– Wysłuchaj ich – zaproponował Altamir.

Potrząsnęła głową.

– Nie chcę.

– Daj im szansę. Duchy nie porzuciły cię latem. To wybuch bariery rozszarpał całą twoją sieć energetyczną. Ruth każdego dnia pił twoją krew. Nie mogłaś ich wtedy zobaczyć. Ale to nie znaczy, że cię opuściły. Im dłużej będziesz ignorować i je, i magię, tym gorzej. Wiesz o tym.

Zacisnęła gniewnie usta. W końcu gwałtownie objęła głowę rękami.

– Nie mogę tego wytrzymać! Za dużo dźwięków!

Skuliła się, podciągając kolana do piersi, a Altamir patrzył na nią zrezygnowany. Jej nieużywana moc stopniowo, z dnia na dzień wymykała się spod kontroli. Nie umiał przekonać Yuno, aby zaczęła znowu z niej korzystać i rozładowała szalejącą energię. Sytuację dodatkowo pogarszały szamańskie dary, dręcząc nieszczęsną maginię głosami jej zawiedzionych, odepchniętych duchów.

Objął ramieniem przykurczoną sylwetkę żony i przycisnął usta do jej ciepłego karku.

– Zrób to – poprosił. – Będę cały czas obok. Nie będziesz sama. Porozmawiaj z nimi.

Skinęła głową i się wyprostowała. Zacisnęła rękę na jego dłoni, przymknęła powieki, a on obserwował ją uważnie. Obawiał się, że jeśli Yuno teraz sięgnie po jeden ze swoich darów, to drugi, tak samo niestabilny, samoczynnie uwolni energię.

Jej aura migotała niespokojnie, powieki drgały, a palce zaciskały się coraz mocniej.

– To Świątynia – powiedziała cicho. – Są atakowani. Oni umierają, Miro. Moje duchy... rozpaczają. – Westchnęła i pogłężyła się głębiej w transie. – Vanistes... To on. Niszczy Świątynię.

„A więc wreszcie zaczął działać” – stwierdził w duchu. Wszyscy na to czekali. Wywiad Argerriten próbował odnaleźć kryjówkę Vanistesę, lecz bez powodzenia. I to w zasadzie wszystko.

Yuno była w rozsypce, Altamir całą uwagę skupił na niej. Sam zresztą też przecież nie był w najlepszej formie. Kitsu i Enis wyprawili się w kilka podróży, ale i oni nie pozyskali żadnych godnych uwagi informacji. Vanistes gdzieś się przyczaił i siedział tam jak mysz pod miotłą. Aż do tej chwili.

– Czuję coś... – mruknęła magini. W jej głosie zabrzmiało obrzydzenie. – Coś złego. Bardzo... bardzo... Czuję... ten zapach. – Wykrzywiła usta. – To Ruth. On tam jest. Duchy wiedzą. Ruth. On żyje. I teraz morduje innych... Żyje. – Do jej głosu zaczęła się wkradać panika.

– Spokojnie. – Pocieszająco potarł jej ramiona. – Jesteśmy daleko.

– Nie! To nie wystarczy!

To Miau i Mrau pierwsze dostrzegły nadchodzące zagrożenie. Nastroszyły futerka i syknęły ostrzegawczo. Aura magini rozbłysła jak błyskawica, kobieta krzyknęła z bólu. Kocięta czmychnęły w popłochu pod łóżko, a sekundę później Yuno wybuchła nagromadzoną w niej magią. Sypialnia zniknęła w oślepiającym rozbłysku. Altamir zaciskał kurczowo ramiona wokół szlochającej rozpaczliwie żony.

Przewidział taki rozwój wydarzeń. Jeszcze zanim weszła w trans, osłonił szczelnie koty i całe pomieszczenie. Teraz skoncentrował się na zapanowaniu nad wylewającą się z magini mocą i odpowiednim jej przekierowaniu. Ku swemu zdumieniu nie okazał się w tych wysiłkach osamotniony – magia Yuno rozprzestrzeniła się wokół i pomknęła w stronę Sanktuarium.

W umyśle Altamira rozległ się głos Xanimedesa:

– *Wiedziałem, że to się zdarzy. Byłem gotowy już od jakiegoś czasu. Pozwól jej magii płynąć, niech się samoczynnie ustabilizuje. Ja was uziemię.*

Sekundę później Miro wyczuł koło siebie obecność Kitsu i Uthy, którzy wzmocnili jego zabezpieczenia i czuwali w pogotowiu.

– *Wszyscy na to czekaliśmy* – przyznał Kitsu. – *Uspokój Yuno, a my zajmiemy się resztą. Zmykaj!*

Altamir skupił się więc na dygocącej żonie, która rozpaczliwie usiłowała odzyskać kontrolę nad przetaczającą się przez nią magią.

– Nie walcz z tym. – Gładził jej ramię. – Wypuść ją. Właśnie tak. Spokojnie.

Blask powoli przygasał, a magia się stabilizowała. Jej krople wciąż migotały w powietrzu. Osiadły jak lzy na rzęsach łapczywie chwytającej powietrze magini.

– Nie chciałam... – wyszeptła. – Naprawdę nie chciałam...

– Nic się nie stało. Byliśmy na to gotowi. Dobrze, że to wypuściłaś.

Ale Yuno zerwała się z paniką.

– Gdzie Mrau i Miau?! Nie osłoniłam ich!

– Ja to zrobiłem. Są pod łóżkiem. Nic im nie jest.

Na potwierdzenie tych słów z dołu rozległo się rozpaczliwe miauknięcie. Kocięta z entuzjazmem wróciły na materac, prężąc ogony niczym sztandary wojenne, zupełnie jakby samodzielnie wygrały z szalejącą magią ich opiekunki i ocaliły wszystkich wokół. Miro uśmiechnął się na tę myśl, a Yuno wyciągnęła ręce do pupili.

W salonie trzasnęły drzwi.

– Wchodzimy! – zawołał ostrzegawczo Kitsu.

Smok wpadł z impetem do sypialni, omiatając otoczenie czujnym spojrzeniem. Za nim podążała Enis. Owinęła się szmaragdową narzutą, a w dłoni trzymała krótki miecz.

– Macie złe wyczucie czasu – burknęła z niezadowoleniem.

Yuno zerknęła na nią przepraszająco.

– Co to wyzwoliło? – Kitsu oparł się o framugę, krzyżując ramiona na piersi.

Magini zaczerpnęła tchu.

– Vanistes atakuje Świątynię.

– A więc wreszcie ruszył.

– Jest z nim Ruth – dodała magini, odwracając wzrok. – On żyje.

Kitsu prychnął gniewnie, za to oczy Enis rozbłyśły żądzą walki.

– Jest jak karaluch. Ale to znaczy, że wciąż mogę go zabić – stwierdziła buńczucznie. – No dobrze, klan cały. Wracajcie spać – zakomenderowała. – Yuno, puść te koty, bo cię rozszarpiają na strzępy. My idziemy do siebie. – Chwyciła Kitsu za łokieć i zdecydowanie pociągnęła.

Miau i Mrau, oswobodzone z uścisku, zeskoczyły na podłogę i zajęły się porozrzucanymi wszędzie szmacianymi piłeczkami.

– Jak myślisz, kiedy dotrą do Macierzy? – zapytała Yuno.

Miro wzruszył tylko ramionami.

– Dziś? Może jutro?

– I co wtedy?

– Niech smoki się tym zajmą, to ich bałagan. My wrócimy do Kervaloren.

Magiczne świetliki unoszące się leniwie pod baldachimem absurdalnie wielkiego łóża rzucały ciepłą poświatę na ściągniętą niepokojem twarz Yuno. Altamir nachylił się do niej, odgarnął jej z policzka kosmyki włosów, założył je za ucho i pogładził kciukiem bladą skórę.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił. – Nawet jeśli nie zginał... więcej nie położy na tobie łap. Pamiętaj, że on też wierzy w naszą śmierć. Vanistes plunął na nas ogniem.

Nigdy nie rozmawiali o tym wydarzeniu. W Sanktuarium było widać ślady smoczych płomieni, ale Miro zbył pytania Kitsu odpowiedzią, że ogień po prostu ich ominął. Wolał się nie zastanawiać nad tym, co wtedy zaszło. Nic nie było w stanie przetrwać smoczego ognia. Pochłaniał wszystko. Nie oparło mu się dotąd nic, co żywe... Nic poza Altamirem Ivesse. A on bardzo nie chciał o tym myśleć.

Yuno wzięła jego twarz w dłonie, wyrrywając go z zadumy, i przyłgnęła do jego ust zaborczo. Przyjął to z ulgą i zapalem, poddając się pieśszotom. Rozsznurował tasiemkę przy dekolcie jej koszuli nocnej, zsunął ją z ramion i pożądliwie sięgnął po uwolnione spod materiału drobne piersi. Magini westchnęła prosto w jego wargi i zadrżała.

– Kochaj mnie, Miro – poprosiła jak zawsze.

W ciągu minionych dni te słowa stały się jej własnym zaklęciem, którym odpychała strach. Wypowiadała je każdej nocy, chciwie biorąc jego ciało i miłość. Zawsze niecierpliwa i zachłanna, popychając go na poduszki, nachylając się nad nim i obejmując go udami w talii. Jak zakłęty patrzył w jej błyszczące oczy, kiedy zaciskała wokół niego mięśnie.

Widział jej desperację i wiedział, że powinien z nią o tym porozmawiać. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że nie była na to gotowa. Próbowwała uleczyć swoje rany, a wszelkie słowa sprawiłyby, że na powrót zamknęłyby się w sobie. A więc dawał jej wszystko, czego potrzebowała. Mówił do niej, całując jej zdyszane usta, wplatając palce we włosy, patrząc na jej ekstazę, słuchając urywanego jęku. A potem trzymając ją mocno przy sobie i samemu zatracając się w jej ciele.



To, na co czekali, nadeszło tuż nad ranem. Trzymali się w objęciach, wpatrując szeroko otwartymi oczami w przestrzeń, gdy nad światem przetoczyła się fala mocy. Magia wokół nich brzmiała jak dzwon.

Vanistes wydobył Macierz.

Miau i Mrau głęboko spały niewzruszone tymi wydarzeniami.

Rozdział 2

Jeżeli Vanistes kiedykolwiek poważnie niepokoił się obsesją Rutha na punkcie ludzkiej kobiety, w najśmielszych snach nie przewidziałby, jak bardzo miały zagrozić jego planom te uczucia. Kiedy smok zabierał podopiecznego z Sanktuarium, ten balansował na granicy życia i śmierci, grożąc zabránem w zaświaty tajemnicy miejsca ukrycia Macierzy.

Vanistes dotąd nie skupiał się na zagadnieniach zachowania życia i zdrowia, tym razem jednak stoczył prawdziwą walkę o zatrzymanie na świecie duszy czarnoksiężnika. Kto by się spodziewał, że umierająca dziewczyna niemal weźmie swojego oprawcę ze sobą? Jej ciosy, zapewne przypadkowo, były tak celne, że chyba tylko interwencja nieznanymi sił boskich została Rutha wśród żywych. W pewnej chwili zdeterminowany Vanistes usiłował wyciągnąć z egzekutora cenne informacje, ale ten roześmiał się, plując przy tym krwią.

„Musisz mnie ocalić” – wycharczał. „Inaczej nigdy jej nie znajdziesz”.

Uparty duch czarnoksiężnika wygrał batalię ze słabnącym ciałem. Wiele czasu jednak potrzeba było, aby mężczyzna zdołał się podnieść z postania. Tygodniami majaczył w malignie. Opieka nad nim stała się obowiązkiem ludzi, których Vanistes uratował spod zaklęcia we Wróżym Lesie. Nieszczęśnicy tak

bardzo lękali się smoka, że bez protestu wypełniali każde jego polecenie. O dziwo nigdy też nie spróbowali ucieczki. Może dlatego, że trudno było znaleźć drogę wiodącą przez moczary, które obrał na swoją siedzibę. A może dlatego, że bardzo szybko zrozumieli, jaki los by ich czekał, gdyby się na coś takiego poważyli. To oni bowiem odpowiadali za przygotowanie nowego laboratorium swojego pana. Vanistes specjalnie zabrał z Argerriten parę eksponatów – żeby ludzie mogli patrzeć na to, co ich spotka, jeśli okażą nieposłuszeństwo.

Wreszcie smok stracił cierpliwość.

– Dość czekania – oświadczył, stawiając przed Ruthem kielich wypełniony gęstą, lepłą cieczą. – Pij.

Egzekutor rzucił się łapczywie na ofiarowaną mu krew. Na moment doda mu sił i wzmocni ledwo tłący się talent. A co się stanie z mężczyzną potem, niewiele obchodziło smoka.

Kiedy czarnoksiężnik łakomie osuszał naczynie, Vanistes kierował się w stronę dziedzińca starożytnej budowli. Blask gwiazd rozświetlił jego ciemne oczy. Rozłożył szeroko ramiona, jakby rozciągał zeszytywniałe członki. Wokół jego postaci zakłębiła się magia, na mgnienie oka rozmywając kontury sylwetki.

Kiedy egzekutor w ślad za swoim mistrzem wychynął z porażonych w mroku ruin, na popękkanym od starości bruku czekał już na niego smok o łuskach czarnych niczym nocne niebo.



Dzwony alarmowe rozbrzmiały w tej samej chwili, kiedy grunt zadrżał tak mocno, że szyby w oknach zadzwięczały i popękały. Rodan zerwał się ze snu i rozejrzał wkoło. Wraz z biciem dzwonów do jego uszu dobiegły huk i ludzkie krzyki. Co się działo?!

Trzęsienie ziemi?

Fala powodziowa z gór?

Nie tracił czasu na szukanie ubrań – wybiegł z komnaty w samych kalesonach. Rzucił się do wychodzącego na główny dziedziniec okna. Dostrzegł jedynie lecący ku ziemi gruz z walącej się wieży. Zatchnął się z szoku.

– Panie! – wysapał jakiś strażnik, młody chłopak, który pewnie ledwo ukończył szkolenie, blady i roztrzęsiony. – A-atakują!

Mag spojrział na niego z niezrozumieniem.

– Co atakują? Kto?

– Nas! – krzyknął chłopak. – Nas atakują, nikt nie wie kto! To bestia jakaś, s-s-smok!

Rodanowi brakło słów. Smok? Dobrze sobie! One nie istniały! Wyśmiałby chłopca i wysłał na badanie przeciw substancjom halucynogennym, gdyby nie wszechobecny harmider i drżące ściany. Cokolwiek się działo, Świątynia i jej mieszkańcy byli w realnym niebezpieczeństwie.

– Jeszcze raz – warknął. – Spokojnie. Kto, gdzie, kiedy?

Strażnik zaczerpnął głęboko tchu.

– Chwilę temu zaatakowano mury Świątyni. To jeden człowiek, panie, na bestii! Powiedziałbym, że smok, no ale... smok?! Może to iluzja, nie wiem. Ale nikogo więcej nie ma!

– Za mną. – Rodan nie zamierzał marnować więcej czasu na nieskładne wyjaśnienia młodzieńca i ruszył biegiem w stronę dziedzińca. – Z którego oddziału jesteś?

– Piętnasty! Mamy wartę na murach. Taisa posłała gońców po Kolegium i magów defensywnych. Dwudziesty już organizuje ochronę dla skrzydła dziecięcego.

„Bogowie, dzieci!” – Rodanowi przebiegł po plecach dreszcz. Ale nie mógł posłać tam nikogo lepszego niż Laria dowodzącego dwudziestym oddziałem gwardii.

– Magów ofensywnych i defensywnych na mury! – zawołał do grupki przestraszonych ludzi. – Uzdrowiciele w pogotowiu! Chorych i słabszych zaprowadźcie do skrzydła dziecięcego, dwudziesty tam działa. – A chłopca zapytał: – Jak się nazywasz?

– Jave.

– Będziesz moim adiutantem. Na razie trzymaj się blisko. Gdzie mój strażnik?

– Gharego widziano ostatnio na dziedzińcu. – Wszyscy znali strażników służących magom należącym do Kolegium, więc Jave bez trudu potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Rodan odetchnął z ulgą, wiedząc, że przyjaciel jest już na miejscu.

Zanim Rodan i Jave pokonali kilka pięter i dłużące się labirynty korytarzy, fundamentami Świątyni jeszcze parokrotnie wstrząsnęły wybuchy. Gdzieś z głębi kamiennego organizmu dobiegało histeryczne zawrodoenie. Mag czuł wypełniającą mu wnętrzności panikę.

W końcu wyskoczył przed gmach.

Tuż przed nim młoda uzdrowicielka, szlochając rozpaczliwie, usiłowała ratować umierającego strażnika. Coś wyrwało mu nogi, krew rozlewała się gęstą kałużą. Magia nie mogła uczynić cudu, lecz pochłonięta histerią kobieta nie umiała tego zrozumieć. Rodan szarpnął ją za ramię, odrywając od umierającego i niemal rzucając za siebie w beznadziejnej próbie zapewnienia jej ochrony. Poślizgnął się w ciemnej posoce.

– Jave, zaprowadź ją do wnętrza!

Huk niemal go ogłuszył. Odruchowo rozciągnął nad sobą i tą dwójką zakłęcie ochronne, ale rozprysło się w proch pod uderzeniem tak silnym, że mag upadł na kolana.

Piszcząco mu w uszach.

– ...nie... nie... – mamrotał ktoś nieprzytomnie.

Rodan zamrugał i się obejrzał.

Jave klęczał na ziemi, gorączkowo macając bruk zalany lepką breją. Mężczyzna przez chwilę nie rozumiał, czym ona była, ale... O bogowie, to były jelita. Z rozprutego brzucha wylewały się wnętrzności chłopca, którego Rodan zabrał ze sobą w sam środek piekła.

A Świątynia, serce wiedzy i potęgi... płonęła. Zaklęcia ochronne wybuchały fioletowymi płomieniami, magiczny ogień chwycił się kamieni i pożerał mury. W jego upiornym blasku na dziedzińcu sypały się z hałasem kawały murów i wież strażniczych. Liliowy blask ślizgał się na lustrzanej powierzchni krwi pokrywającej wszystko, wydobywając spod gruzów zarysy kończyn i korpusów.

Pośrodku głównego dziedzińca Świątyni miotła się w szale bestia, jakiej mag nigdy wcześniej nie widział. Ba, nie uwierzyłby nawet w jej istnienie, gdyby nie to, że właśnie oglądał ją na własne oczy. Ciemne łuski pokrywające gadzie cielsko łapały rozproszone światło magicznych pożarów, a uzbrojona w szeregi ostrych zębów paszcza zawisała na moment tuż nad skamieniałym z grozy Rodanem. Wtedy zobaczył zwisające z niej zwłoki. Nieruchoma twarz kołysała się tuż nad jego własną. Rozpoznał w niej tę młodą uzdrowicielkę, która nie uciekła, bo chciała ratować martwych...

Nad tym pandemonium brzmiał męski głos. Skandował zaklęcia w języku, którego brzmienie osiadało zimnym ciężarem w dole brzucha. Bruk dziedzińca wibrował lekko. Spomiędzy kamieni zaczął się sączyć cień mroczniejszy niż noc.

– Ruszajcie! – rozległ się donośny rozkaz.

Rodan zadziałał instynktownie, jeszcze zanim pojawił się, z czym przyszło mu się mierzyć. Uderzył dłońmi w ziemię, wzbijając magię defensywną, która krystaliczną taflą odgrodziła od mroku wszystko, co miał za plecami: wejście do kompleksu, gdzie chroniło się teraz tyłu ludzi. Jego ludzi. Ludzi, za których był odpowiedzialny.

Nacierający dym układał się w półludzkie i półzwierzęce kształty mieszające się między sobą, łączące i dzielące ponownie jak żywa tkanka.

– Demonolodzy do wejścia świątynnego! – huknął wzmocniony magicznie głos Phaerra, Siódmego Maga Kolegium.

Rodan dygotał pod naporem obcej siły uderzającej na jego osłonę. Zaciskał zęby, a naprężone mięśnie drżały z wysiłku. Na ramiona i szyję wystąpiły mu żyły.

Jeszcze chwilę. Zanim ze środka dotrą posiłki.

Gadzi łeb nachylił się nad nim, badając go z istic naukową wnikliwością, podczas kiedy na wpół uformowane demony drapały pazurami kryształową zaporę.

– Mogę go zjeść – rozległ się basowy, znudzony głos.

– Nie. Tego mi zostaw – odpowiedział ktoś, a Rodanowi włosy niemal stanęły dęba.

Zerknął nieco wyżej, wzdłuż długiej smoczej szyi, i dostrzegł wśród wijących się cieni bladą, pokrytą tatuażami twarz...

Poczuł tak duży szok, że nie utrzymał dłużej zakłęcia. Rozsypało się w drobne skry. Wtedy w ziemię przed nim uderzyła okuta srebrem pawęż. Demoniczna nawała, zamiast go pochłonać, rozbiła się na dwa nurty niczym czoło powodzi, omywając Rodana i chroniącego go wiernego Gharego. Stworzenia rzuciły się z piskiem na Świątynię, wnikając przez drzwi i okna. Z wnętrza poniosły się rozpaczliwe wrzaski i huk zakłęk.

– Piąty do środka! – rozbrzmiał rozkaz.

– Za nami oddział ofensywny – wychrypiał Ghare. – Kolejum całe tutaj. Oddziały od czwartego do trzynastego walczą na murach. Phaerr zawiaduje obroną. Ale nic nie możemy zrobić.

Rodan zacisnął dłoń na imaczu pawęży, a w drugiej zmaterializował powleczone srebrem miecz. W uszach dźwięczały mu wściekłość i nienawiść. Strażnik jeszcze usiłował go powstrzymać, lecz mag zdecydowanie wyrwał mu tarczę.

– Biegnij do wnętrza – rozkazał wojownikowi. – Chron, kogo możesz.

– Chronię ciebie – warknął przyjaciel.

Na sekundę spojrzeli sobie w oczy, a nawała demonów zaczęła się przersedzać.

– Masz chronić słabszych. Takich jak moja córka – oświadczył Rodan, podnosząc się na nogi.

W oczach Gharego na chwilę pojawiło się zdumienie, ale tylko skinął głową i się wycofał. On i Rodan znali się całe życie. Ufali sobie, na ile ludzie wychowani w Świątyni to potrafili. I Ghare nie potrzebował więcej wyjaśnień. Wykonał rozkaz, a potem żałował tej decyzji nieustannie w ciągu kolejnych bolesnych tygodni.

Rodan stanął twarzą twarz z bestią. On – polityk, uczony. Starszy człowiek znużony życiem i jego okrucieństwem. Ale wciąż był jednym z lepszych magów ofensywnych. Umiejętnościami przewyższali go jedynie egzekutorzy.

– Ci są moi! – ryknął.

To było głupie. Brawurowe i nierozsądne. Rodan nie chciał jednak być dłużej rozsądny i opanowany. Miał przed sobą zwyrodnialca, który dręczył jego córkę. Który wpędził nieszczęsną Telannę w śmierć. Który właśnie mordował jego ludzi i niszczył jego dom!

Potwora, którego sam stworzył...

Uderzył w smoka wiązką zaklęć tak silnych, że startyby człowieka w proch. Z niedowierzaniem obserwował, jak magia odbija się od łusek i spływa na ziemię jak woda po kaczce. Wtedy zauważył, że nie miota sam w gada zaklęciami. Grupy najsilniejszych magów bojowych usiłowały opanować kreaturę, ale żadne z zaklęć nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. O tym właśnie mówili Jave i Ghare – Świątynię zaatakował zaledwie jeden smok i oto siedlisko magów okazało się zupełnie bezbronne wobec tego uderzenia. Studiowali i doskonalili magię od pokoleń. A to stworzenie ich dziesiątkowało, trując niemagiczne oddziały i pożerając magów. Jedno stworzenie i siedzący mu na grzbiecie wiarołomny egzekutor.

– Ruth! – zawył Rodan, przebijając się przez hałas. – Zostaw swoją zabawkę i pokaż, na co cię stać!

Liczył, że jeśli ich rozdzieli, to jakkolwiek zwiększy szanse towarzyszy. I może przy okazji własne.

Wbrew logice egzekutor wyszczerzył się w okrutnym uśmiechu.

– Chcesz wszystkim pokazać, jak padasz przede mną na kolana? – ucieszył się, przerzucając nogę nad gadzim grzbietem. Smok warknął zirytowany, a jeździec poklepał łuski. – To długo nie potrwa – obiecał.

– To twoja zabawa – mruknął zniechęcony potwór.

Gdyby Rodan miał jeszcze siłę czuć szok i zdumienie, z pewnością łamałby sobie głowę, jakim cudem to okropne monstrum umie mówić. O smokach wspomniano jako o bezmyślnych, siejących zniszczenie potworach. W ogóle nie miały prawa istnieć! A tu nie dość, że jeden niszczył Świątynię, to jeszcze swobodnie dywagował przy tym z najpodlejszym egzekutorem, jakiego zrodził świat.

Ruth zeskoczył na ziemię i zmierzył starszego maga pogardliwym spojrzeniem.

– Kolegium – prychnął zniesmaczony. – Rozsmaruj twoje flaki na murach.

– Tak jak flaki innych egzekutorów? – Rodan trząśł się ze wściekłości. – Tak jak utopiłeś Świątynię we krwi mojej córki?! – Nie powinien był tego mówić, lecz zaślepiiony gniewem nie zdołał się powstrzymać.

W oczach egzekutora zamigotało zdumienie, ale Rodan nie dał mu czasu na wykorzystanie nieszczęśliwie udzielonej informacji. Rzucił się na niego z niemal młodzieńczą werwą. Nie przeszkadzały mu ani ciężka pawęż, ani solidny miecz. Oręż służył jedynie rozproszeniu uwagi przeciwnika, bo prawdziwą bronią była magia. I to nią cisnął prosto w znienawidzonego czarnoksiężnika. Grunt pod ich nogami zadrżał, a przez powietrze ze świstem pomknęła niszczycielska moc. Zaklęcia wybuchły w kontakcie z osłonami Rutha. Walczących na chwilę

pochłonał dym. Kiedy opar się rozwiął, Rodan nie miał już przed sobą człowieka, tylko upiorną, demoniczną chimere.

– Tak. – Egzekutor się zaśmiał, ruszając na przeciwnika. – Altamira też to zbiło z tropu.

Niepokój szarpnął trzewiami starszego mężczyzny. Zdawało się, że Ruth był wszędzie, atakując dziesiątkami na wół fizycznych odnóży. Łuski pokrywające jego ciało lśniły oleście w blasku eksplodujących wokół zaklęć. Egzekutor był młody, silny, we wszystkim przewyższał Rodana i ten zaczął się cofać, krok po kroku oddawać pole. Z wysiłkiem osłaniał się tarczą, a powlekające ją srebro niweczyło czarną magię. Sam jednak nie umiał w żaden sposób zaszkodzić nacierającemu. Magia się go nie miała, tak jak w przypadku smoka.

Rodan zacisnął wargi. Musiał zmienić sposób postępowania. Zupełnie zaskoczył Rutha, kiedy nagle przeszedł do szermierki. Ku zdumieniu ich obu klinga ze świstem przecięła Ruthowe osłony i rozcinając łuski, zagłębiła się w ramieniu. Mag błyskawicznie złożył się do kolejnego cięcia. Tym razem ostrze prześlizgnęło się po otulonym mrokiem biodrze, krzesząc skry i zdrapując z oponenta magię. Spod niej wyjrzała jasna ludzka skóra. W oczach egzekutora zabłysła panika.

– Ta szmata była twoją córką, tak?! – krzyknął. – To ucieszy cię wieść, że kilka miesięcy temu poderżnąłem jej gardło!

Rodanowi usunęła się ziemia spod stóp. To niemożliwe. Przecież Yuno była bezpieczna! Ale... nie mógł mieć pewności. Zniszczył kulę Telanny zaraz po jej pierwszym użyciu. Bał się, że mogłaby wpaść w niepowołane ręce, że ktoś odkryłby prawdę.

Ruth dostrzegł zawahanie u starszego maga i wyszczerzył się okrutnie.

– Ale zanim ją zarżnąłem, tygodniami robiłem z nią wszystko, co chciałem. Na koniec kazałem jej patrzeć, jak morduję jej

kochanka. Wiesz, że pieprzyła się z własnym uczniem? Tym szczeniakiem z Ivesse?

Diaboliczny śmiech zlał się w jedno z hukami wybuchów i wrzaskami mordowanych przez demony ludzi, a Rodanowi zakręciło się w głowie. Cofnął się chwiejnie, a wtedy egzekutor runął na niego bez żadnej litości. Nasycona zaklęciami ochronnymi pawęż pękła w pół pod uderzeniem ciężkiego młota, który nagle pojawił się w dłoni czarnoksiężnika. Siła uderzenia pozabawiła Rodana czucia w ramieniu, a doznany szok spowolnił reakcję. Wybity z dłoni miecz zawirował w gęstym od dymu powietrzu. Cios w skroń posłał mężczyznę na zbryzgany krwią bruk. Upadł na dłonie i kolana. Jeszcze próbował się podnieść, gwałtownym mruganiem odganiając sprzed oczu mroczki, ale Ruth zacisnął dłoń na jego gardle i pociągnął go w górę.

– Tak kończą ci, którzy stają przeciwko mnie! – zawył, potrząsając ciałem Rodana.

A potem stary mag poczuł ból i szybko opuszczające go siły.

Rozdział 3

Sterroryzowani magowie i wojownicy patrzyli ze zgrozą, jak Ruth rozszarpuje gardło jednego z ich przywódców. Ciało Rodana zadrgało konwulsyjnie, gdy były egzekutor wpijał się w szyję i sycił tryskającą krwią.

Nikt nie miał już siły ani zapędu do walki. Przegrali. Jeden smok i jeden czarnoksiężnik władający zgrają demonów wystarczyli, aby rzucić ich na kolana. To egzekutorzy szkolili się w walkach z ciemnymi mocami. Reszta magów – światli uczeni – nie mogli sobie poradzić z tym zagrożeniem. Na dziedzińcu, słaniając się na nogach i krwawiąc, przebywali też pozostali z siedmiu członków Kolegium. Z ich oczu wyczierała porażka.

– Pokłońcie się przede mną! – zażądał Ruth. Po jego brodzie i szyi ciekła posoka.

Zgromadzony tłum zachybotał się niepewnie. Magowie tylko zaciskali gniewnie usta i unosili dumnie głowy. Nie mieli zamiaru korzyć się przed śmieciem, którego sami wyhodowali. To strażnicy pierwsi złamali szyk, powoli, jeden za drugim padając na kolana. Jako pozbawieni magii zawsze byli uważani w Świątyni za ludzi gorszej kategorii. Niejednokrotnie wybrani dla nich magowie pomiatali nimi i traktowali ich jak zwykłych służących. Wojownicy więc nie chcieli teraz za nich ginąć.

Spośród szeregów wystąpił jeden z wyższych dowódców. Podeszedł do Rutha i ukląkł przed nim.

– Oddziały będą ci posłuszne – oznajmił.

Mag z zadowoleniem skinął głową. Rozluźnił uścisk i ciało Rodana głucho uderzyło o ziemię.

– Będę sprawiedliwy dla tych, którzy będą mnie wspierać! Ale ci, którzy mi odmówią, zginą tu i teraz! Ukorzcie się! – zawołał, patrząc na członków Kolegium.

Vahatr, Trzeci Mag Kolegium, splunął na bruk.

– Po moim trupie – warknął.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz.

Wszystko wydarzyło się szybciej, niż można by nadążyć wzrokiem. Egzekutor natychmiast zmaterializował się przed zaskoczonym mężczyzną. Wziął zamach i w powietrze trysnęła fontanna krwi. Vahatr złapał się za gardło i upadł na kolana.

– A jednak mi się pokłoniłeś – mruknął Ruth z upiorną czułością w głosie. Z jego długich pazurów kapłała krew. – Czy kogoś jeszcze przekonać?

Nie otrzymał spodziewanej odpowiedzi, więc odwrócił się do milczących wojowników.

– Ktoś chętny do lekcji pokazowej?

Yatre, ten, który jako pierwszy ugiął się przed Ruthem, oparł dłoń na rękojeści miecza i przystąpił do egzekutora.

– Co rozkażesz, panie.

Czarnoksiężnik podeszedł do bladego staruszka – Najwyższego Maga Kolegium. Starca podtrzymywały pod ręce dwie uzdrowicielki. Obie dygotały ze strachu, on natomiast trzymał wysoko brodę i mierzył egzekutora spokojnym spojrzeniem.

– Będiesz musiał mnie zabić, chłopcze – stwierdził spokojnie.

Ruth skinął dłonią, przywołując podążającego za nim strażnika, a potem wskazał jeszcze kilku.

– Wykonać egzekucję – rozkazał.

Wojownicy wyrwali starca z uścisku kobiet. Jedna odsunęła się trwożliwie, ale druga próbowała protestować. Cios opancerzoną pięścią w twarz posłał ją na ziemię.

Najwyższego Maga rzucono na kolana, a wtedy Yatre zamachnął się mieczem. Po dziedzińcu potoczyła się odcięta głowa.

– Jesteś szalony! – zawołał Czwarty Mag.

– Jestem skrupulatny, Baveri – poprawił go uprzejmie Ruth. Nad jego sylwetką wisiała ciemna postać smoka. – To jak będzie?

Widać było, że Baveri zaczyna się łamać. Kiedy Yatre postąpił ku niemu z czerwonym od krwi orężem, mag padł na kolana i uniósł ręce nad głowę. W jego ślady poszedł Phaerr, pozostali dwaj członkowie Kolegium zaś patrzyli na nich z pogardą. Zaraz też głowy Piątego i Szóstego Maga potoczyły się po zbryzganym krwią dziedzińcu.

– Tego do lochu. – Ruth wskazał leżącego na ziemi nieprzytomnego Rodana.

Wyznaczona do tego zadania strażniczka jednak się zawahała.

– Panie... – Spojrzała lękliwie na egzekutora. – On potrzebuje pomocy. Może...

Ruth pstryknął palcami i dziewczyna bez przytomności zwała się na bruk.

– Ją też – zarządził nowy władca Świątyni.

Tym razem nikt już nie podważał jego rozkazów.



Mrok całkowicie opanował jego życie. Wpełzł w wypełnione lepką magią żyły, zagnieździł się w sercu. Przejął umysł i zasnuł oczy. Skrępował ciało więzami zniechęcenia i rozpacz.

„Więcej mi odebrała, niż dała...” – brzmiały głucho słowa Altamira.

„Cena za zmianę przeznaczenia jest zawsze bardzo wysoka” – odpowiadał mu ostrzeżenia Orlego Skrzydła.

„Dlaczego uważasz, że masz prawo pozbawić kogoś życia, żeby przejąć jego talenty?” – szeptał pełen rozpaczy głos Yuno. Postać udręczonej magini nawiedzała księcia niemal w każdej chwili. Unosiła się tuż nad jego ramieniem, pełna wyrzutu i rozczarowania. Jej twarz stanowiła oblicze jego klęski.

Kiedyś miał imię i ród. Cele i marzenia. Przyjaciół i zwolenników. Dowodził wojskami, podbijał własne przeznaczenie. Wycinał sobie mieczem miejsce w kronikach. Ale to było, zanim los upomniał się o spłatę długu, a on stracił wszystko. Nawet imię.

Dlatego gdy wywleczono go z ciemnicy, nie zostało w nim już nic, co miałoby energię na bunt. Ciemność zdusiła w nim każdą najmniejszą iskierkę światła. Bezwolnie poddał się dwóm brodatym mężczyznom, którzy trzymali go w stalowym uścisku pod ramiona i wlekli podziemiami. Wreszcie wyprowadzili go na zewnątrz. Świeże nocne powietrze uderzyło w twarz z siłą młota bojowego. Zachłysnął się nim po niezliczonych dniach spędzonych w dusznym mroku. Świat wirował i kołysał się jak pokład okrętu. Gdyby nie trzymano go w pionie, niechybnie zwałiłby się z nóg.

Jego oszołomienie było tak wielkie, że prawie przegapił granatowego niczym nocne niebo smoka nerwowo przestępującego z łapy na łapę. Strażnicy podprowadzili do niego Kierwana i tam go puścili, po czym umknęli w popłochu. Osunął się bez sił na kolana i spuścił głowę przed górującą bestią. Poczul powiew wiatru, kiedy stworzenie rozłożyło ogromne skrzydła i wzbiło się do lotu. Na ciele Kiervana zacisnęły się ostre szpony i poderwały go w górę.



Vanistes powrócił do Świątyni w najciemniejszej godzinie nocy. Niedbale rzucił swój ładunek na dziedziniec i z gracją siadł na

ziemi, od razu zmieniając postać na ludzką. W tym czasie Ruth zdążył chwycić młodego księcia i szarpnąć go w górę.

– Czas na twój występ, Otoro – wycharczał.

Egzekutor był błydy i lekko się chwiały. Magia, którą nasycił go przed walką Vanistes, najwyraźniej się wyczerpała.

Kiervan toczył wkoło pełnym grozy wzrokiem. Czuł zapach martwych ciał, dostrzegał w mroku zawalone budynki. Ruth nie dał mu jednak czasu na obserwację, tylko pociągnął go po schodach w głąb kompleksu świątynnego. Wnętrze wydawało się wymarłe. Wszyscy, którym udało się przeżyć, zaszyli się w komnatach strzeżenia pilnie przez demony. W końcu reprezentacyjne marmurowe pomieszczenia ustąpiły miejsca piwnicom o niskich stropach, potem coraz mniej przyjemnym podziemiom. Panował tu dokuczliwy ziąb, a gruba warstwa kurzu i kotary z pajęczyn dobitnie świadczyły o tym, jak bardzo zapomniane zostały te rejony.

Zatrzymali się w ślepych zaułku. Zdezorientowany książę obejrzał się na Rutha, egzekutor jednak bez wahania złapał jego dłoń. Naciął ją głęboko ostrym szponem i przemocą przycisnął do ściany.

– Krew maga z rodu Otoro – oświadczył. – To jedyny klucz, który może otworzyć to pomieszczenie. Potrzebowaliśmy po prostu maga Otoro, Wasza Wysokość.

Kiervan poczuł ogarniający go ziąb. Patrzył wielkimi oczami na własną krew spływającą po kamieniach. Czerwona strużka zaczęła się rozdzielać i pełznąć wyżłobieniami w murze, wędrując tam, jakby miała własną świadomość. Ze ściany sączył się blask, który wkrótce zrobił się tak jasny, że książę musiał zasłonić oczy drugim ramieniem. Coś tąpnęło i przez korytarz przetoczyła się fala czystej mocy, niemal zwalając go z nóg.

Zaciekawienie przeważało nad strachem. Przed nimi otwierała się niewielka, okrągła komnata wyłożona białym kamieniem odbijającym niezwykle blask, który ją wypełniał. Serce

światła unosiło się w powietrzu pośrodku tej przestrzeni. Płasało i falowało, zmieniając kontury i fakturę, jakby było zakłęte w płynnej postaci. Moc, którą emitowało, była tak potężna, że Kiervanowi zdawało się, jakby ścierała w proch całe jego istnienie.

Vanistes powoli, jak we śnie przestąpił próg. Zbliżał się do Macierzy krok za krokiem. Jego oczy lśniły coraz mocniejszym blaskiem, kiedy smocza żądza dochodziła do głosu. Teraz błękit jego tęczówek mieszał się z białym światłem Iskry Życia. Mężczyzna wyciągnął dłonie i zacisnął je na substancji. Okazała się twarda i chłodna jak klejnot, choć wyczuwał pod skórą vibracje jej pulsującej mocy. Zastygł wpatrzony w powierzchnię, a jego palce na tym tle wydawały się czarne niczym smugi cienia. Macierz szeptała do niego śpiewnie, głosem tak upojnym, że miał ochotę zatopić się w niej na wieki.

Zacisnął wargi i potrząsnął głową, zrywając dziwną więź. Nie sądził, że zareaguje tak emocjonalnie. Był naukowcem, nie dawał sobą łatwo manipulować. Nie zamierzał się poddawać wpływowi Macierzy. To ona miała służyć jemu, nie na odwrót.

Wyrwał ją z pola siłowego utrzymującego klejnot w miejscu. Owinął kamień połą płaszcza i nagle zapadł mrok tak głęboki, że nawet smocze oczy potrzebowały czasu, aby odwyknąć od niezwykłego światła Macierzy. Ruth i Kiervan byli prawie zupełnie oślepieni, kiedy Vanistes przekraczał próg komnaty.

– Teraz, Ruth – rzucił polecenie.

Egzekutor popchnął księcia, a ten zatoczył się do środka pustego pomieszczenia. Obejrzał się niepewnie, zdziwiony i zagubiony.

– Żegnaj, Otor. – Egzekutor uśmiechnął się paskudnie.

Ten uśmiech był ostatnim, co Kiervan dostrzegł, zanim kamienne drzwi z hukiem opadły i odcięły mu jedyną drogę ucieczki.

Rozdział 4

– Spójrz na ten. – Kitsu podał miecz Altamirowi, a on z uwagą wyciągnął broń z pochwy.

– Jednosieczny. – Zerkająca mu przez ramię Enis się skrzywiła. Smok się naburmuszył.

– Znakomity wyrób starożytnego smoczego płatnerstwa!

Dziewczyna zrobiła do niego minę i zaczęła spacerować po zbrojowni rodu Dargaah.

– Nie wiem, Kitsu. – Miro się zawahał, z zachwytem ogłędając oręż.

Klinga była delikatnie wygięta i miała zaskakującą, falującą krawędź. Rękojeść stanowiła prawdziwe dzieło sztuki. Przedstawiała rozwartą w ryku smoczą paszczę. Szczęki gada obejmowały klingę. Miro nie mógł odgadnąć, z jakiego metalu wykonano broń. Uchwyt wyglądał na zrobiony z mosiądzu, ale w dotyku był delikatniejszy i lekko ciepły. Ostrze także pokrywała warstwa tajemniczego stopu.

– To dzieło sztuki. Nie wiem, czy mogę go wziąć.

– Należy do mnie, więc to moja decyzja, komu go przekazać – zbył go Kitsu. – Dałem ci twój pierwszy miecz, a skoro go zepsułeś, muszę znaleźć ci kolejny. Uważam to za swój ojcowski obowiązek. – Smok założył ramiona na piersi, a Altamir uśmiechnął się delikatnie.

– Tylko nie mów tego przy Ertileyesie. Jest o ciebie zazdrosny.
– On też dostał ode mnie miecz z tej zbrojowni. Ba, nawet od tego samego płatnerza! Tylko w odróżnieniu od ciebie lepiej dba o swoją własność.

– Po prostu nigdy nim nie walczył – wtrąciła Enis, przewracając oczami. – Mogę wziąć ten? Jest śliczny! – Wskazała krótki jednoręczny miecz o klindze z dwukolorowej stali.

– Dostałaś już trzy – wytknął jej Kitsu.

– Potrzebuję czwartego! Jeden zostawię tutaj, w Argerri-ten, drugi w dolinie, trzeci w domu Mira i Yuno w Kervaloren, a czwarty będę ze sobą wozić! Dzięki temu zawsze będę miała coś pod ręką.

– Trudno jej odmówić logiki – poparł ją Miro.

Kitsu wyrzucił ręce do góry.

– Zbankrutuję przez ciebie, dziewczyno! – zawołał z udawaną rozpaczą. – Nie zostawisz mi ani nożyka do obierania jabłek i w końcu ktoś mnie, bezbronnego, zaciuka.

– Będę cię bronić. – Uśmiechnęła się słodko. Nachyliła się do niego i musnęła ustami jego policzek. – Dzięki, Kitsu. Idę go pokazać Yuno!

W podskokach pobiegła w stronę wyjścia, a Kitsu chrząknął, by odwrócić uwagę Mira od swoich czerwonych z zakłopotania policzków.

– To pokaż, na co cię stać, szczeniaku. Co tam wykombinowaliście z Enis?

Niby od niechcenia sięgnął do regału z bronią sieczną. Był tak szybki, że tylko cichy zgrzyt dobywanej stali ostrzegł rozproszanego Altamira przed nadchodzącym atakiem. Uchylił się i złożył do cięcia. Miecz fenomenalnie układał się w dłoni i wydawał się naturalnym przedłużeniem dzierzącego go ramienia.

– Wolno – rzucił Kitsu z niesmakiem, przymierzając się do kopnięcia ucznia w prawą nogę. Chciał wytrącić go z równowagi i zmusić do oparcia się na niesprawnej, lewej, ale Miro przeniósł

ciężar ciała zaledwie na chwilę, która była potrzebna, by umknąć przed ciosem. Sprężysta klinga zaśpiewała w powietrzu i oparła się o bok szyi rudzielca.

– Wolno?

Smok uśmiechnął się z aprobatą.

– Może być. Czemu nie korzystasz z zakłéc przeciwbólowych?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Gdybym używał ich każdego dnia, w końcu przestałyby na mnie działać. Wolę trzymać je w odwodzie na specjalną okazję. Co to za stop?

– Smoczy sekret. Tego Ruth tak łatwo nie złamie.

– W takim razie biorę. – Altamir wsunął ostrze do pochwy. – I także pójde się pochwalić Yuno.

Wyszli ze zbrojowni i zaczęli się wspinać po szerokiej klatce schodowej.

– Jak się trzyma mała?

– Jest wstrząśnięta. – Miro westchnął. – Zrobiłbym wszystko, żeby poczuła się lepiej, ale...

– Nie możemy zrobić nic, by pozbawić ją talentów, którymi obciążył ją los – dokończył za niego ze smutkiem Kitsu. – Musi ich używać.

– Mógłbym otoczyć ją osłonami jak kiedyś, ale to nie rozwiąże problemu.

Na chwilę pogrążyli się w ciszy, a potem Miro zaczął mówić z wyraźnym wahaniem:

– Mógłbym... Zastanawiam się... – Urwał, a smok zerknął na niego z podejrzliwie. – Myślałem, czyby nie zmienić jej wspomnień. Sprawić, że zapomni. Może byłoby jej trochę łatwiej. – Mówiąc to, wbijał wzrok w stopy.

Kitsu zatrzymał się jak wryty.

– Miro! – zawołał ze złością. – Nic nie mówiłem, kiedy robiłeś to egzekutorom, ale Yuno... Bogowie, to twoja żona, a ty chcesz grzebać w jej umyśle?

Altamir spojrział na niego ze złością.

– Te wspomnienia ją niszczą! A ja zrobiłbym wszystko, absolutnie wszystko, żeby jej pomóc, więc czemu nie...

Smok chwycił go za ramiona.

– Nie ma nic bardziej haniebnego niż manipulacja myślami i wspomnieniami drugiej osoby!

– I co z tego? Jeśli to by jej pomogło...

– Nie wiesz, jaki będzie skutek! To nie jest jedno wspomnienie, to tygodnie ciągłego piekła. Możesz bezpowrotnie zniszczyć jej umysł, wszystko, czym Yuno jest. Może się obudzić warzywem.

Przez chwilę mierzyli się gniewnymi spojrzeniami, a potem Altamir znowu spuścił wzrok. Poddał się. Znał przecież ryzyko. Wiedział też, jak zareaguje rudzielec. Może dlatego poruszył ten temat – żeby smok wylał mu na głowę wiadro zimnej wody i odwiódł go od tego szaleńczego pomysłu.

Ruszyli dalej, a Kitsu zagadnął spokojnym tonem, jakby ich poprzednia wymiana zdań nie istniała:

– Myślisz, że Yuno da radę już podróżować?

– Chyba tak.

– Powinniśmy się stąd wynieść. Nie wiemy, co zamierza Vanistes. Gdyby wrócił... lepiej, żeby was tu już nie było.

– Nie boisz się zostawić swoich?

– Bardziej boję się o was. Zawsze ci powtarzam, że smoki nie są takie kruche. Nie to, co wy, ludzie.

Altamir zacisnął zęby, kiedy lewe kolano przeszył ostry ból.

– Nie sądzisz, że byłoby dobrze dowiedzieć się więcej o Vanistesie? – zapytał z wahaniem. Przewidywał, jak zareaguje smok na nietuzinkową propozycję, a nie chciał wywoływać kolejnej kłótni.

– Przecież próbowaliśmy!

– Nie zbadaliśmy jego skarbcza.

Kitsu zatrzymał się gwałtownie i obejrzał na Mira z absolutnym zgorszeniem.

– No wiesz! – zachnął się. – To tak, jakbym mu wchodził w... nie wiem! Nie rozumiesz, smoczy skarbiec... Nie byłem nawet w skarbcu Ayanne, a ona była moją żoną! Ona nie była w moim!

– Może Kerrilan okaże się mniej zasadnicza – mruknął mężczyzna. – Albo namówię Ertiego...

Ten zjawił się jakby wezwany zaklęciem. Zbiegał właśnie po schodach i wyraźnie ich szukał.

– Wiemy, że Vanistes opuścił Świątynię nad ranem... – zaczął na bezdechu, po czym urwał, wytrzeszczając oczy na widok miecza niesionego przez Mira. Krzyknął oskarżycielsko: – Ja go chciałem!

– Ty masz – zwrócił mu surowo uwagę Kitsu. Skarcony chłopak zarumienił się ze wstydu.

– Ale nie taki – mruknął z żalem.

Były król Argerriten przewrócił oczami.

– Jak będziesz miał smoczykę, którą będziesz musiał chronić przed okrutnym czarnoksiężnikiem, to dostaniesz jeszcze lepszy – obiecał.

– Naprawdę? – ucieszył się młodzieniec. – Ten zaczarowany, wysadzany rubinami?

– Ej, Erti – przerwał mu Miro. – Włamiesz się ze mną do skarbcza Vanistesa?



– To jest po prostu nieprzyzwoite – biadolił Kitsu, krocząc stromym zejściem w głąb ziemi.

Pochód prowadził ożywiony Ertileyes. Złamanie smoczego tabu najwyraźniej nie przerażało go tak mocno jak resztę. Za nim kuśtykał zacięty Altamir. Nieszczęśliwi Kitsanis i Kerrilan podążali za nimi. Kolumnę zamykała Vetris. Obejmowała się ciasno ramionami i zdawała się jeszcze bledsza niż zwykle.